

„Majstersztyk fabularnej alchemii”,  
ANNE URSU, autorka *Kronik Kronosa* i *Breadcrumbs*

# POTWORNA

MarcyKate Connolly



# POTWORNIA

MarcyKate Connolly



Przeł. Iwona Michałowska-Gabrych



# DZIEŃ 1



## **NIGDY NIE ZAPOMNĘ PIERWSZEGO TCHU. CIĘŻKIEGO, DRŻĄCEGO, CUDOWNEGO.**

Ledwie otworzyłam oczy, opadły mnie kolory świata, wypełniając całą przestrzeń odcieniami i przedmiotami, dla których nie miałam nazw.

Trzy sekundy później straciłam przytomność. Ojciec nazwał to „przeładowaniem sensorycznym”. Naprawił mnie i gdy znów się obudziłam, świat był bardziej zrozumiały. Unoszący się nade mną przedmiot okazał się twarzą, widoczne w nim kręgi – oczami, a kapiące z nich ciepłe krople – łzami.

Przecinająca twarz szczelina, która poszerzyła się pod moim spojrzeniem, była uśmiechem.

– Żyjesz – powiedział Ojciec.

Wciąż to mamrocze, choć minęło już kilka godzin.

## DZIEŃ 2



**OPIERAM SIĘ O WIERZBĘ I WYCIĄGAM DO PRZODU RĘCE, BY PRZYJRZEĆ SIĘ IM** w świetle zachodzącego słońca. Cienkie czerwone linie oddzielające segmenty skóry wyblakły i są prawie niewidoczne. Pozostało wiele odcieni i maleńkie śrubki łączące ogon z plecami, stawy ze skrzydłami, szyję z barkiem. Nie ustąpił też tępy ból.

Ojciec z powiewającymi na wietrze srebrzystymi włosami układa na polu belki i dziwne żelazne rury. Mają posłużyć mi do ćwiczeń. Nie powiedział, do czego mnie przygotowuje – stwierdził jedynie, że poinformuje mnie o tym, gdy nadejdzie właściwa chwila. Napotyka mój wzrok i macha do mnie.

Jestem przekonana, że to nie potrwa długo. Jest zachwycony moimi postępami. Wczoraj w ciągu jednej godziny opanowałam chodzenie, a po dwóch już biegałam. Teraz bez trudu wskazuję na najniższą gałąź wierzby.

Mówi, że największym sukcesem jest mowa. Udało mu się zachować tę część mojego mózgu, więc mówię dokładnie tak jak wtedy, gdy byłam człowiekiem.

Kiedys.

Żałuję jedynie, że nie mogłam zachować wspomnień. Nie mam pojęcia, kim byłam. Nic nie wiem o swojej matce. Nawet wspomnienia o Ojcu zagięły.

Nie potrzebuję ich, by wiedzieć, za jaki skarb mnie uważa. Ilekroć na mnie patrzy, na jego twarzy maluje się oczarowanie, jak gdyby moje istnienie było cudem.

Pewnie jest.

Kombinacja odcieni na rękach, nogach i tułowiu wygląda oszałamiająco, zwłaszcza w porównaniu z faktem, że twarz mam jednolicie porcelanową. Ojciec mówi, że z oddali muszę jak najbardziej przypominać człowieka, a rąk czy nóg pod płaszczem nie widać. Kiedy nudzi mnie przyglądanie się rękom, zatykam za uszy długie ciemne kosmyki i zadzieram ogon, by lepiej go widzieć. Ma trzy ostre czubki. Ojciec nazywa je żądłami. Ostrzega, żebym za mocno nie wymachiwała ogonem, bo zrobię sobie krzywdę.

Przesuwam palcem po fosforyzujących łuskach otaczających twarde brązowe kolce. Są całkiem ładne, zwłaszcza w ostatnich promieniach słońca. Zastanawiam się, do czego służą żądła, i dotykam ich ostrożnie...

# DZIEŃ 4



**SIEDZĘ PRZY PALENISKU W NASZYM CZERWONYM DOMU, ZAMĘCZAJĄC OJCA** pytaniami i nie przestając bawić się końcem ogona. Ojciec lawiruje wokół pytań z tą samą zręcznością, z jaką moje palce okrążają ostre czubki. Jestem już znacznie ostrożniejsza. Zawarty w żądle jad usypia ludzi. Poprzednim razem ukłułam się w palec i spałam pół dnia.

Dostałam nauczkę.

– Ojczy – pytam – a dlaczego ty nie masz ogona?

– Nie jestem tak wyjątkowy jak ty, Kymero – mówi wymijająco. – Większość ludzi taka nie jest. Ty masz misję, a ogon i inne elementy pomogą ci ją wypełnić.

– Jak? – Marszczę brwi, patrząc na żądła, a potem potrząsam ogonem, jakbym chciała, żeby mi odpowiedział. Ale tylko łuski migoczą w blasku ognia.

– Powiem ci, gdy nadejdzie czas.

Policzki płoną ze złości, lecz kiedy Ojciec dotyka jednego z nich, uspokaja mnie jego czułość. Coraz bardziej lubię ten domek z wysłużonymi drewnianymi ścianami, wysokimi żywopłotami i ogrodem różanym. Nawet stojąca obok wieża jest jak stara znajoma. Najczęściej jednak wpatruję się w Ojca – człowieka, który mnie zbudował – i uczę się na pamięć wszystkich linii i płaszczyzn jego twarzy. Jest niemal tak zniszczona jak ściany, lecz emanuje życzliwością i ciepłem, któremu nie dorównuje nawet ogień.

Obok pluszowego fotela ląduje poszczekująca ruda suczka z ptasimi skrzydłami. To Ćwirka. Ojciec nazywa ją wróbnielem.

Ja nazywam ją pysznością.

Mam jednak uchodzić za człowieka, a ludzie nie jedzą wróbnieli, spanieli ani niczego, co trzymają w domu jako pupili.

Ćwirka trzyma się w bezpiecznej odległości, a pod nieobecność Ojca całkiem mnie unika.

Jestem głodna. Ze złością potrząsam ogonem.

Bęc!

Za moimi plecami spada z półki książka. Ojciec wzdycha. Dostałam od niego ten tom w pierwszym dniu życia. Okładkę ma postrzępioną na brzegach, ale słowa są cudne, pełne magii, życia, tajemnicy. Ojciec nazywa je baśniami. Mają stanowić część mojej nauki. Wstaję – tym razem ostrożniej – i podnoszę tomik. Nie potrafię jeszcze panować nad wszystkimi częściami ciała, co bardzo martwi Ojca. Odkładam książkę na półkę i wycieram w sukienkę zakurzone ręce.

Nie chcę go martwić. Próbował mnie ożywić pięć razy i dopiero za piątym mu się udało.

Nie zapytałam go jeszcze, co się stało z poprzednimi ciętami. Na razie wystarczy mi świadomość, że żyję i jestem silna, choć może nieco zbyt niezdarna.

W jakimś celu – mówi, że szlachetnym – stworzył mnie z ogonem węża, skrzydłami ogromnego kruka, pazurami i oczami kota. Ku jego rozpaczyci wciąż nie nauczyłam się latać. Za to w zrzucaniu przedmiotów z półek jestem niezła.

Włożył mnóstwo wysiłku, by mnie zbudować i ożywić. Oby mi się udało spełnić jego oczekiwania.

– Usiądź, Kymero. Kiedy tak chodzisz, Ćwirka się denerwuje. – Poklepuje krzesło naprzeciw siebie. Ćwirka szamocze się w jego ramionach, jakby chciała odlecieć. Szczerczę zęby i syczę na nią, po czym siadam – mam nadzieję, że po kobiecemu. Ćwirka wskakuje na belkę pod sufitem. Chichoczę.

– Nie powinnaś tego robić. Tylko tu możesz spotkać inne hybrydy. Ćwirka to pokrewna dusza.

Wróbnielka skomli, jakby wszystko rozumiała. Przewracam oczami.

– Jestem lepsza niż jakiś tam szczeniak ze skrzydłami. Ty mnie taką stworzyłeś. – Uśmiech Ojca dodaje mi odwagi. – Po co to zrobiłeś?

Oczy mu wilgotnieją.

– Jesteś moją córką, Kym.

– Wiem, ale co cię skłoniło, żeby tyle razy próbować? Jeśli nie możesz zdradzić celu, wyjaw mi choć tyle. – Mrugam, przełączając oczy z żółtych kocich na niebieskie ludzkie tęczołki. Kiedy ich używam, Ojciec jest dla mnie łaskawszy.

Wzdycha. Strategia zadziałała.

– Większość twoich ludzkich elementów pochodzi od mojej córki. Rok temu zostałaś porwana przez czarnoksięż-



nika. Matka usiłowała go powstrzymać, on jednak zabił ją w walce. Potem zniknął. Dopiero wtedy znalazłem twoje ciało. Od tamtej pory poświęciłem swój czas i możliwości, by cię wskrzesić. – Zapada się głębiej w fotel. Palenisko ledwie się żarzy, ale za to we mnie buzuje furia. Przełączam się z powrotem na kocie oczy i z trudem powstrzymuję ręce od wysunięcia pazurów.

– Kto chciałby zabić dziecko dobrego człowieka? – Moje pytanie sprawia Ojcu wyraźny ból, ale nie żałuję, że je zadałam.

– Pragnienie władzy leży w naturze magów. Ten ponadto oszalał z bólu. Gdy w wyniku choroby stracił własną córkę, z zazdrości zaczął porywać i zabijać wszystkie dziewczęta, jakie napotkał. Przypuszczam, że pragnie użyć czarnej magii, aby ożywić zmarłe dziecko.

– Niby jak?

– Ludzie nie noszą w sobie magii, lecz młoda krew stanowi ważny składnik złych czarów. O ile wiem, odkąd stracił córkę, zaczął się parać jeszcze czarniejszą magią i ciągle potrzebuje ofiar.

– Ja byłam jedną z nich.

Pochyla głowę.

– A potem mnie uratowałaś. – Kręci mi się w głowie od nadmiaru emocji: duma i miłość do Ojca, żal po utracie matki, nieokiełznana nienawiść do człowieka, który zniszczył wszystko, co kochałam...

– To było trudne. Nie mogłem odbudować cię w całości. Nie zdołałem odzyskać twoich wspomnień. – Wzdycha. – Każda próba zabierała coraz więcej z twego pierwotnego ciała. Udało mi się zachować ośrodek mowy z mózgu, więc słowa

będą do ciebie wracać w miarę potrzeby. I co najważniejsze, z każdą próbą stawałaś się silniejsza. Musiałem tylko odkryć właściwą kombinację elementów. – Muska palcem mój podbródek. – Kiedy byłaś człowiekiem, nazywałem cię swoim największym osiągnięciem. Teraz naprawdę nim jesteś.

Na jego twarzy zawsze maluje się cień bólu. Przypominam mu żonę. Moją matkę. Chciałabym ją pamiętać. Chciałabym pamiętać siebie.

A przede wszystkim chciałabym wyrwać serce czarno-księżnikowi, który tak skrzywdził moją rodzinę.

Jest potworem.

# DZIEŃ 7



## – JESZCZE RAZ.

Stękam i znów biegnę na przygotowane przez Ojca bo-  
isko treningowe. Przeskakuję przez coraz wyższe przesko-  
dy, a potem rozpościeram skrzydła i frunę przez otaczający  
nasz dom labirynt z żywopłotu. Ojciec mówi, że to ochrona  
przed czarownikiem. Nie chcemy, żeby nas tu znalazł – ani  
on, ani jego magia. Z zewnątrz żywopłot i dom są ledwie  
widoczne, skryte za gęstym sosnowym zagajnikiem.

Ja jednak widzę je jak na dłoni. Teraz, gdy latanie nie  
sprawia mi kłopotu, poznałam ukryte przejścia. Kiedy się  
wznoszę, sięgam wzrokiem do miasta Bryre na wschod-  
nim horyzoncie i zielonych wzgórz na zachodzie. Przez las  
meandruje rzeka o błękitnych jak niebo wodach. Na pół-  
nocy, między dużymi połaciami lasu, które wyglądają, jak-  
by zamierzały połknąć wszystko, co je otacza, widnokrag

upstrzony jest ciemnoniebieskimi kropkami. Ilekroć widzę z góry ten krajobraz, serce trzepocze mi w piersiach.

To cień utraconego wspomnienia: te obrazy są mi drogie, bo były drogie dziewczynie, od której się wywodzę.

Łąduję i zamykam oczy, oddając się we władanie pozostałych zmysłów. Znam już labirynt na pamięć. Moje nozdrza wypełnia silny zapach sosen. Ignoruję go i ruszam za aromatem gotującego się nad paleniskiem gulaszu. Przyspieszam, bo z głodu burczy mi w brzuchu.

Przysięgam, że jeśli wkrótce nie skończymy ćwiczeń, spałaszuję Ówirkę w dwóch kęsach, nie bacząc na konsekwencje.

Ojciec uśmiecha się od ucha do ucha, gdy łąduję u jego stóp.

– Doskonale – mówi, głaszcząc mnie po włosach. – Pobiłaś rekord szybkości. Dasz sobie radę, moja droga.

Znów burczy mi w brzuchu.

– Dostanę wreszcie obiad, Ojczy?

– Wkrótce – odpowiada z błyskiem w oku. – Jeszcze tylko jedno zadanie.

Powstrzymuję jęk. Jeśli się dobrze spiszę, będzie ze mnie dumny. Może wreszcie zdradzi mi szczegóły mojego przeznaczenia. Zmuszam się do uśmiechu.

– Musisz poćwiczyć polowanie. W ten sposób nauczysz się skradać i nabierzesz sprytu. Obu tych umiejętności potrzebujesz, aby wypełnić misję, do której cię powołałem.

– Polowanie – powtarzam, czując, jak budzą się we mnie pierwotne instynkty.

– Leć do lasu i przynieś mi królika. Dodamy go do gulaszu.

Na wzmiankę o kolacji ślina napływa mi do ust.

Przelatuję nad żywoplotem i ląduję w lesie. Przełączam oczy na kocie. Nozdrza wychwytyują zapachy sosny, iłów, zwierzyny i strachu.

Pamiętam zapach królika, którego ojciec przyniósł do domu na mój pierwszy posiłek. Pamiętam też, że mięso było delikatne i smaczne. Chcę jak najszybciej wykonać polecenie.

Niełatwo jest latać w lesie. Drzewa rosną gęsto, gałęzie zahaczają o wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu. Zamiast używać skrzydeł, biegnę po usłanej liśćmi ziemi z nadzieją, że znajdę królika i dostarczę go Ojcu, zanim się ściemni. Głód ścisza mi żołądek.

Od ściółki i drzew docierają zapachy różnych stworzeń, które jednak czmychają, nim się zbliżę. Zbyt późno uświadamiam sobie, że płoszy je mój szybki, bezmyślnie ciężki krok.

W ten sposób nigdy nie schwytam królika.

Zwalniam i wznoszę się ponad ziemię. Lecę ostrożnie między drzewami. Muszę się przemieszczać bardzo wolno, ale przynajmniej nogi mam w powietrzu. Zwierzęta nie usłyszą, że się zbliżam. Czy to miał na myśli Ojciec, mówiąc o skradaniu się?

Nagle moje nozdrza wypełnia ciepły, słodki aromat. Skupiam wzrok na przestraszonym stworzonku kicającym szybko po suchych liściach.

Będziesz mój!

Instyngt drapieznika podpowiada dalsze kroki. Podlatuję coraz bliżej ofiary. Królik kuli się w zagłębieniu u stóp drzewa, przywierając do ziemi. Słyszę, jak dudni mu serce.

Atakuję i wbijam zęby w miękką szyję. Niewielka cząstka mózgu wzdryga się przed tym, lecz potrafi jedynie

powstrzymać mnie przed natychmiastowym pożarciem surowego królika. Muszę go zanieść Ojcu.

Ciepła krew ścieka mi po policzku na kołnierz jasnozielonej sukienki. Usiłuję wytrzeć strużkę rękawem, ale i on się brudzi. Ojciec pewnie będzie zły, że zniszczyłam ubranie.

Połykam trzymane w ustach mięso, a sierść wypluwam. W króliczych oczkach zgasło już życie. Głód w moich trzewiach miesza się z odrazą. Zabiłam, bo muszę jeść, lecz nagle opadły mnie wątpliwości. Czy o to chodziło? Przerażona, podnoszę się z ziemi. Czy Ojciec na pewno mi to polecił? Pamiętam tylko głód.

Trzymam w rękach bezwładne, skrwawione stworzonko. Nie wrócę mu życia. Muszę je zanieść Ojcu.

Wlokę się przez las w stronę domu. Co pomyśli, gdy zobaczy martwe zwierzę? Ale skoro mamy je zjeść, musiało zginąć. Z pewnością chciał, żebym je uśmierciła.

Drzę. W jaki sposób zabicie zwierzęcia ma mnie przygotować do wykonania misji?

Otrząsam się z zamyślenia na skraju żywopłotu. Naprężam się i wzlatuję w powietrze. Przed domem Ojciec rozmawia z jakimś mężczyzną w kapeluszu o szerokim, zasłaniającym oczy rondzie. Jakim cudem nieznajomy przedostał się przez labirynt? Ojciec nigdy nie wspominał, że ma przyjaciół wśród ludzi.

Ląduję łagodnie i biegnę ku nim.

– Ojcie! – wołam, unosząc królika i błagając go w myślach, by moja decyzja okazała się dobra. – Mam!

Obcy krzyczy. Na twarzy Ojca w ciągu trzech sekund malują się wstrząs, przerażenie, w końcu furia.

– Do domu! Już!

Uciekam i rzucając się na podłogę przy ogniu. Łzy płyną mi po twarzy, zmywając część króliczej krwi.

Źle wybrałam. Nie powinnam była zabijać. Podpełzam do okna i przyglądam się rozmowie.

Obcy wymachuje rękami, wykrzywiając opaloną twarz w grymasie, który nic dla mnie nie znaczy. Ojciec krzyczy.

Zrobiłam coś bardzo, bardzo złego. Klęczę przy oknie oszołomiona, nie mogąc oderwać wzroku od rozgrywającej się na podwórzu sceny. Instynkt każe mi uciekać, lecz nie mam dokąd.

Obcy chce odejść. Ojciec chwyta go za ramię. Nieznajomy znacznie przewyższa go wzrostem, lecz dotyk go uspokaja. Ojciec tłumaczy mu coś zbyt cicho, bym mogła to usłyszeć. Kiedy go puszcza, obcy wygląda inaczej.

Jest teraz wyraźnie zadowolony. Śmieje się. Potem odchodzi.

Siadam pospiesznie na krześle przy palenisku. Całkiem zapomniałam o obiedzie. Królik leży na cegłach, czekając na oprawienie. Mam nadzieję, że to nie należy do moich ćwiczeń.

Gdy Ojciec wchodzi do domu, z ulgą dostrzegam, że jego twarz nie nosi śladu poprzedniej złości. Znowu jest łagodny. Uśmiecham się nieśmiało.

– Musisz być ostrożniejsza, kochanie. Nikt nie powinien cię widzieć bez płaszcza.

– Dlaczego?

– Wyglądasz inaczej niż ludzie. Wzbudzasz w nich strach. A kiedy się boją, atakują jak przerażony pies. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

– Czy ten człowiek się mnie bał?

Ojciec chichocze.

– Bardzo. Niewiele osób spokojnie przyjąłoby widok skrzydlatej dziewczyny ze ściekającą po brodzie krwią. – Poklepuje mnie po głowie i podnosi królika. – Dobra robota. Tylko następnym razem postaraj się nie zjeść połowy po drodze.

Rumienię się.

– Umyj się, a ja dokończę gulasz.

W drodze do łazienki oglądam się za siebie.

– Zdradzisz mi, do czego zostałam stworzona?

Kręci głową.

– Nie. Ale jesteś już niemal gotowa. Jutro.

Usta wyginają mi się w podkówkę. Rozczarowałam Ojca. Jestem tego pewna. Inaczej powiedziałaby mi już dziś.



# DZIEŃ 8



**STOJĘ W OGRODZIE POŚRÓD RÓŻANYCH KRZEWÓW, KTÓRE ZASADZIŁ OJCIEC. CODZIENNIE** je podlewam i szepczę do nich. Niektóre są żółte, inne różowe czy białe, lecz ja najbardziej lubię ciemny karmazyn. Trenuję na nich nowe słowa. Pewnie dzięki temu tak szybko rosną. Każdy potrzebuje kogoś do rozmowy. Ja mam Ojca. Róże mają tylko mnie.

Drzwi domku otwierają się ze skrzypnięciem i staje w nich Ojciec. Uśmiecham się od ucha do ucha. Patrzenie na róże zawsze mnie uszczęśliwia, a fakt, że dziś ostatni dzień mojej nauki, tym bardziej nie smuci.

Tego wieczoru dowiem się wreszcie, po co zostałam stworzona. Pękam z dumy.

Podaje mi płaszcz.

– Od teraz, moje dziecko, musisz go zawsze nosić, gdy opuszczasz dom. – Zarzuca mi go na ramiona i zapina na szyi. Materiał zahacza się o śrubkę, ale Ojciec go uwalnia.

– Żeby ludzie nie widzieli elementów, które ich przestraszą?  
– Właśnie.  
– Czy to moje skrzydła, czy krew tak przestraszyły twojego znajomego?

Śmieje się.

– Pewnie jedno i drugie.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że on tu będzie.

Ojciec poklepuje mnie po ramieniu.

– Ja też nie. Ale nie bój się, nigdy więcej nie zjawi się bez uprzedzenia.

– Świetnie. – Podbiegam do żywopłotu. – Co dziś ćwiczymy?

Każdego dnia dawał mi inne zadania. Najpierw przeszkody, które miały sprawdzić moją koordynację. Potem testy sprawności i wydajności. Dalej polowanie. Nie zdecydowałam jeszcze, czy je lubię, choć z całą pewnością lubię królika.

– Dziś sprawdzimy, jak dobrze potrafisz wtapiać się w tło i skradać.

– Skradałam się wczoraj – zauważam, wchodząc wraz z Ojcem na jedną ze ścieżek labiryntu.

– Do królika. Dziś sprawdzimy, jak ci idzie z ludźmi. – Chwyta mnie za ramiona. – Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją. A ciebie nie rozumieją. Będą się bali na widok twego ogona czy skrzydeł, więc musisz starannie je ukrywać.

Poprawia mi płaszcz. Prostuję się.

– Skrzydła trzymaj złożone, blisko ciała, jak drugą skórę. Ogon chowaj pod spódnicą i za nic w świecie nie pozwól, żeby się wysunął.

Owijam ogon wokół uda.

– Tak?

Odsuwa mnie na odległość ręki.

– Idealnie. Zawsze byłaś pojętna, moja droga.

Rusza dalej, lecz ja wciąż stoję.

– A co mam zrobić, jeśli ktoś jednak je zobaczy?

Podbiega do mnie dwoma susami i mocno ściska za ramiona.

– Postąpisz tak, jak każe ci instynkt. Potem uciekniesz. Przyleć prosto tu, zanim rozpoczną pościg. Rozumiesz? – Ma w oczach coś, czego nigdy u niego nie widziałam. Upór. Determinację. Ale zarazem jego spojrzenie przywodzi mi na myśl oczy wczorajszego królika. Dlaczego?

– Rozumiem.

Puszcza mnie i idziemy dalej.

– Grzeczna dziewczynka.

– Co instynkt każe mi zrobić w takiej sytuacji? – pytam ze strachem. Niepokoi mnie pamięć o tym, czego zażądał instynkt podczas polowania.

– Nie martw się. On załatwi to za ciebie.

– Właśnie to mnie martwi.

– Nie jesteś zwykłym człowiekiem. Masz elementy zwierzęce i one wiedzą, co robić. Żądło zlikwiduje każde zagrożenie, a skrzydła pomogą w ucieczce. – Mierzwi moje czarne włosy. – Jesteś stworzeniem idealnym. Wiem o tym, bo w końcu to ja cię stworzyłem.

Sądząc z jego wyjaśnień, opanowanie instynktów to nic szczególnego.

Kiedy docieramy do lasu, Ojciec raz jeszcze mi się przygląda. Potem rusza w kierunku, w którym nigdy dotąd nie spacerowaliśmy.

– Dokąd idziemy? – pytam.

– Do drogi. Musimy sprawdzić, jak dobrze kamuflujesz się przed podróżnymi w miejscu, gdzie nie ma kryjówek.

– Czy w najbliższych dniach często będę musiała się kamuflować? – pytam w nadziei, że choć częściowo zdradzi, na czym polega moja misja.

– Częściej, niżbym sobie życzył.

– Będę mogła swobodnie chodzić między ludźmi? – pytam bez namysłu i zamiera mi serce. To pewnie pragnienie ludzkiej dziewczyny, którą kiedyś byłam. Ja przecież nie potrzebuję towarzystwa ludzi. Wystarczą mi Ojciec i róże.

– Nie wiem, Kymero. Nie czas na takie rozważania. Są pilniejsze sprawy. – Wskazuje nadchodzącego człowieka i wózek ciągnięty przez niewielkiego konia. – Czas rozpocząć kolejny etap szkolenia.

Czuję ciepło rozchodzące się od pleców po trójzębną końcówkę ogona. Sprostam wyzwaniu. Ojciec będzie ze mnie dumny.

– Co mam zrobić?

Uśmiecha się.

– Przejdź obok niego, nie przykuwając uwagi.

Mężczyzna jest coraz bliżej. Skupiam się na trzymaniu ogona i skrzydeł przy ciele. Wstrzymuję oddech, aż kręci mi się w głowie. Mężczyzna pozdrawia nas skinieniem, po czym traci zainteresowanie.

Udało się! Mam ochotę skakać z radości, lecz powstrzymuję się w obawie, że zwrócę uwagę podróżnego. Pęcznięję z dumy.

– Dobra robota – mówi Ojciec. – Tak masz się zachowywać przez całą drogę.

– Ilu jeszcze będziemy mijać? – Patrzę na niego, mrużąc oczy w blasku słońca. Nigdy dotąd nie byłam w tak odso-

niętym miejscu. Czuję się bezradna wobec ostrych promieni, choć prawie całe moje ciało spowija płaszcz.

– Tylu, ilu spotkamy w drodze do bram Bryre.

Na piaszczystym trakcie mijamy kilku kolejnych mężczyzn z konnymi wózkami, a także gromadkę kobiet i dzieci. Wyglądają różnie, lecz żadne z nich nie jest tak barwne jak ja. Żadne nie ma ogona. A jedyne skrzydła w zasięgu wzroku należą do przelatujących ptaków. Nikt nie ma kocich oczu, które widzą w mroku, zbroi z łusek ani pazurów.

Jakże się różnię od tych wszystkich ludzi!

Wygląd to nie wszystko. Poruszamy się inaczej. Ich ramiona są chudsze i bardziej zwieszona. Skóra – brudniejsza. Oczy mniej błyszczące niż u Ojca i u mnie.

Zatrzymuję się na środku drogi. „Przygnębienie”, „tro-ska” – myślę, wyławiając słowa z otchłani pamięci.

– Dlaczego ci ludzie są nieszczęśliwi?

– To przez czarnoksiężnika. Niszczy im plony i kradnie dzieci. Są zdruzgotani. Potrzebują pomocy. – Kciukiem i palcem wskazującym ujmuję mój podbródek. – Potrzebują ciebie. W poprzednim życiu sąsiedzi i przyjaciele z miasteczka byli ci drodzy. Słynęłaś z życzliwości. Pamiętaj o tym. Nawet jeśli będą się ciebie bać. Nawet jeśli będą cię przeklinać lub atakować.

– Nigdy o tym nie zapomnę. Przenigdy. – Mówię szczerze. Słowa Ojca obudziły odległe wspomnienie. Nie pamiętam imion ani twarzy, ale z całego serca pragnę szczęścia tego miasta. Chcę pomóc jego mieszkańcom. Chcę, żeby się uśmiechali, gdy czują na twarzy promienie słońca, i mieli tyle róż, ile im trzeba do szczęścia. Wciąż niewiele wiem o swojej misji, ale jeśli mam pomóc tym ludziom, uczynię to z radością.

Zbliżamy się do zakrętu. Ojciec zwalnia.

– Czas sprawdzić, jak radzisz sobie sama – mówi, prowadząc mnie do niewielkiego zagajnika przy drodze. – Odczekaj chwilę w cieniu, ukryty za drzewami. Ty odczekaj kilka sekund. Gdy usłyszysz, że ktoś się zbliża, wyjdź mu naprzeciw.

Marszczę brwi. O co właściwie mu chodzi?

– Zobaczy mnie znieacka całkiem z bliska. Wcześniej nie będzie mnie widział przez te drzewa.

– I o to chodzi. Zaskoczysz go. Musisz być powściągliwa i nie pokazać, kim jesteś.

Mimo konsternacji spełniam jego życzenie. Ukrywam się za drzewami przed zakrętem, zamykam oczy i wyostrzam zwierzęce zmysły.

Słyszę świst skrzydeł przelatującego jastrzębia. Słońce grzeje tak mocno, że mam ochotę zdjąć płaszcz. Pamiętam jednak słowa Ojca. Za plecami cichnie łoskot ostatniego wozu. Zza zakrętu dociera do mnie woń cynamonu i piżma. Słyszę nierówne kroki dwóch osób. Jedna z nich na pewno jest mężczyzną. Ruszam naprzód. Po chwili zza zakrętu wybiega dziewczyna. Mija mnie ze spuszczoneymi oczami, nie podnosząc wzroku. Rękami przyciska do siebie płaszcz.

Przypomina wystraszonego królika. Coś we mnie krzyczy. Ta młoda kobieta boi się, a ja muszę poznać przyczynę. Biorę zakręt, nie czekając, aż mężczyzna się zbliży.

To młodzieniec. Nie wygląda groźnie. Rozglądam się, ale nikogo innego nie ma w pobliżu.

Gdy znów na niego patrzę, wykrzywia usta w uśmiechu. Przechodzi mnie dreszcz. Może to przez ten dziwny błysk w oczach, a może z powodu sposobu, w jaki się do mnie zbliża?

Niby nonszalancko, lecz tak szybko, że jest tuż obok, zanim zdążyłam wziąć głęboki oddech i zastanowić się, co robić.

Powinnam pobiec do Ojca. Gdzie się podział? Dlaczego zostawił mnie samą z tym niepokojącym mężczyzną? Jak ma mi to pomóc w ratowaniu nieszczęśliwych mieszkańców miasta?

– Witam panienkę – mówi młodzieniec. Oddech ma dziwny, gorzki. – Tak gorąco, a piękna panienska owinięta płaszczem? – Szczerzy zęby. Serce trzepocze mi w piersi. Nie chcę mieć do czynienia z tym człowiekiem. – Niechże go panienska zdejmie.

Potrząsam głową.

– Do widzenia. – Ruszam ku drzewom, ale on chwyta mnie za nadgarstek i obraca z powrotem do siebie.

Potrzebuję aż pięciu sekund, by zrozumieć, że mój ogon zamachnął się i dźgnął go w pierś. Nim to pojmuję, mężczyzna leży na ziemi bez śladu uśmiechu na twarzy. Ręce tak mi drżą, że z trudem chowam pazury. Nawet nie wiem, kiedy się wysunęły.

Kroki za plecami. Obracam się błyskawicznie, przykucając i sycząc.

To Ojciec. Wstaję. Mój puls wraca do normy.

– Nie chciałam go uządlić. – Wpatruję się w swoje dłonie. – Nie wiem, jak to się stało.

Bierze mnie w ramiona. Wdycham jego słodki zapach, lecz ucisk w piersi nie słabnie.

– Oblałam test?

Ojciec odsuwa mnie i obejmuje dłońmi moją twarz.

– Zdałaś celująco.

Wpatruję się w nieruchome ciało na drodze.

– Jak to?

– Zwyczajnie, dziecko. Zlikwidowałaś zagrożenie. – Patrzy na leżącego. – Dodam, że poszło ci to całkiem zgrabnie.

– Skąd wiedziałam, jak to zrobić?

– Na tym, moja droga, polega instynkt.

Instynkt to dziwna rzecz. Jestem pewna, że wkrótce się z nim zaprzyjaźnię, ale na razie niepokoi mnie świadomość, że ciało reaguje bez mojej zgody. Mężczyzna nie patrzy już na mnie nieprzyjemnym wzrokiem, lecz mi go żal. Nie miał pojęcia, co potrafię. Gdyby to wiedział, nie podszedłby do mnie.

Widocznie można się ukrywać także na widoku – wystarczy nie zdradzać swoich umiejętności.

Zaczyna mnie boleć głowa.

– Chodź – mówi Ojciec. – Pomożesz mi go przenieść na pobocze.

– Po co?

Krzywi się.

– Jeśli ktoś będzie tędy szedł, nim on się ocknie, weźmie go za pijaka. Nikt nie powinien na razie wiedzieć, do czego jesteś zdolna.

Chwytam leżącego za nogi, a Ojciec za ramiona. Przenosimy bezwładne ciało w cień drzew. Ziemia pod stopami drży. Wracam na drogę i widzę dwa rozpędzone czarne konie wznoszące tumany piachu. Mężczyzna na furmance z trudem utrzymuje lejce. Zaczep pęka i konie galopują nieskrępowane prosto na mnie. Wpatruję się w nie z rozdziawionymi ustami, sparaliżowana z przerażenia.

– Kym! – Ojciec odciąga mnie na bok. Z zapiętym tchem patrzę, jak ogromne zwierzęta przebiegają obok, wzbudzając wiatr, od którego faluje mój płaszcz. Ojciec przyciska mnie do siebie, póki nie przestanę drżeć.



– Obiecuj, że następnym razem uciekniesz, gdy będzie na ciebie pędzić coś tak wielkiego.

– Obiecuję – odpowiadam zaniepokojona. – Czy instynkt nie powinien mnie do tego popchnąć? Dlaczego zawiódł?

Czułam wyłącznie przerażenie i bezradność.

– Czasami, gdy coś nas zaskoczy, odruchy nie zdążą się włączyć. Dlatego musisz bacznie obserwować otoczenie, moja droga. Ani na moment nie trać czujności.

– Obiecuję – powtarzam z determinacją. Już wiem, że poruszanie się w tym dziwnym świecie, który istnieje poza naszym domem, wymaga najwyższej uwagi.

Dobiegają mnie stłumione krzyki. Odsuwam się od Ojca. Furmanka leży przewrócona, lecz woźnicy nigdzie nie wi-  
dać. Nim zdążę coś powiedzieć, Ojciec podbiega do wozu, mamrocząc coś. Wlokę się za nim na drżących nogach. Biedak musiał zostać przygnieciony. Potrzebuje nas.

Ojciec dobiega pierwszy i usiłuje podnieść furmankę. Chwytam skraj drewnianej obudowy i razem stawiamy ją z powrotem na kołach. Mnie nie wydaje się ciężka. Ojciec jednak dyszy z wysiłku.

Woźnica oddycha z ulgą, opromieniony słońcem.

– Dziękuję – szepcze, gdy Ojciec pomaga mu wstać.

– Twoje konie pobiegły w stronę gór. Pewnie będziesz potrzebował więcej ludzi, by je złapać.

– Tak, tak. – Mężczyzna sprawia wrażenie oszołomionego. Raz jeszcze dziękuje Ojcu, po czym kuśtyka z powrotem do bramy miasta, przyciskając do ciała jedną rękę.

Jestem dumna z Ojca. Uratował tego człowieka, a wkrótce razem uratujemy pozostałych mieszkańców Bryre.

Idziemy ramię w ramię w stronę naszego lasu.

– Myślisz, że odzyska konie?

Ojciec wybucha śmiechem.

– Kiedyś tak.

– Dobrze się dzisiaj sprawiłam? – pytam.

– Och, doskonale. Lepiej, niż się spodziewałem.

Nagle czuję się lekka jak piórko. Ojciec jest ze mnie zadowolony! Cóż może być lepszego?

– Zdradzisz mi dziś mój cel?

Ściska mnie za ramię i poklepuje po dłoni.

– Tak, kochanie. Dzisiaj w końcu się dowiesz, po co cię stworzyłem.

Uśmiecham się tak szeroko, że czuję na zębach dotyk słońca.

Wreszcie jestem gotowa.

Wieczorem, po zjedzeniu gulaszu i wyszorowaniu naczyń, Ojciec sadza mnie przy ogniu. Ćwirka kładzie się u jego stóp i bacznie mnie obserwuje. Przypuszczam, że nawet sypia z jednym okiem otwartym w obawie, że ją pożrę.

Tak naprawdę już nie mam na nią chrapki, choć lubię się z nią droczyć. Wygląda mi na zbyt żylastą.

Do tej pory każdego wieczoru czytaliśmy baśnie. Dziś jednak Ojciec nie sięga na półkę po stary tom. Będziemy rozmawiać o czymś innym: o misji, dla której powołał mnie do życia.

Siadam przy palenisku u stóp Ojca, krzyżując nogi. Trudno powstrzymać ogon od wicia się po podłodze. Ojciec wpatruje się we mnie z zachwytem. Podobnie jak ja nie może się doczekać chwili, w której rozpocznę misję.

– Kymero, pamiętasz, co ci mówiłem o złym magu?

– Zabił mi matkę. Innym ludziom zabija córki.

Kiwa głową.

– Rzucił na Bryre klątwę, która rozprzestrzenia się niczym zaraza. Atakuje tylko dziewczęta, a dorośli i chłopcy nieświadomie ją przenoszą. Wystarczyło przekląć jednego niewinnego podróżnego zmierzającego do miasta, by choroba zaczęła zbierać żniwo. Mieszkańcy nie mają innego wyjścia, jak tylko izolować zarażone osoby.

– A ja? – zapytałam. – Też mogę się zarazić?

– Nie – odpowiada z uśmiechem. – Byłem sprytny. Nie jesteś zwykłą dziewczyną, lecz także ptakiem, węzem i kotem. Klątwa cię nie dotknie.

Uśmiecham się szeroko. O wszystkim pomyślał. Dzięki niemu zawsze będziemy wyprzedzać czarownika o krok.

Ojciec wzdycha i głębiej sadowi się w fotelu.

– Kłopot w tym, że zwykle pielęgniarki boją się przekraczać próg szpitala, w którym chore dziewczęta poddaje się kwarantannie. Tylko bezdzielnym starczą odwagi, by opiekować się tymi biedaczkami, które z dnia na dzień tracą siły. A strzegą ich przed złym magiem jedynie strażnicy, którzy nie założyli rodzin. Wykradanie dziewcząt ze szpitala i zamknięcie w swoim więzieniu to dla niego igraszka.

Czuję ciarki na plecach.

– Mnie też tam trzymał?

Twarz Ojca łagodnieje.

– Nie wiem, kochanie. Znalazłem cię, gdy było już po wszystkim.

– A wiesz, gdzie znajduje się to miejsce?

– Wiem. Jest zakamuflowane. Tak jak ty kamuflowałaś się dziś na drodze. Stoi w samym środku miasta. Narzysowałem

dla ciebie mapę. – Wyjmuje z leżącej na stole książki złożoną kartkę i podaje mi. – Ona zaprowadzi cię do dziewcząt. Uwolnisz je. Tylko ty możesz powstrzymać czarnoksiężnika.